

# Kronika tygodniowa.

Jeśli poprzednia kronika nie była może tak majową, jak tego pragnąłem, nie moja w tem wina, ale owego pecha, z którym prawdopodobnie na ten świat przyszedłem. Ani się spostrzegłem, iż na dzień, w którym ją pisać rozpocząłem, wypadła uroczystość Znalezienia świętego Krzyża, którą z zasady powinni obchodzić wszyscy żonaci. Każdy z nich znalazł krzyż, który musi dźwigać na swych barkach aż do śmierci, chyba, że mu pomagają... przyjaciele domu. Dzień ten jest stanowczo feralnym i to pierwszego rzędu, ponieważ zaś do tego wypadł na poniedziałek, speszzył mi cały tydzień.

Aczkolwiek nie jestem szewcem, obchodzę bardzo często tak zwany *blaumontag*, połączony zazwyczaj z lekkim „kocim wrzaskiem“, co jest znowu następstwem niedzielnego próżnowania i politykowania przy bombce, nic też dziwnego, że robota w poniedziałek jakoś się nie klei.

Także ten tasieś, o którym na końcu kroniki wspominałem, narobił mi kłopotu niemało. Zaraz we czwartek, zaledwie *Nowości Ilustrowane* pojawiły się na mieście, opadło mnie kilku poetów najrozmaitszego kalibru z zapytaniem, czy przypadkowo którego z nich nie miałem na myśli. Jeden z nich wystosował nawet do mnie arkuszką epistolę, podziwiając me jasnowidzenie i narzekając na gada, który mu od lat kilku stale dokucza, a którego ani rusz się pozbyć.

Gdybym się nie obawiał zemsty lekarzy, którzy i tak sprzysięgli się na mnie za rady, jakich czasem bezinteresownie Czytelnikom udzielam, podałbym szanownemu wieszczowi niezawodny środek, przy którego pomocy, stanowczo uwolniłby się od swego prześladowcy. Swojego czasu zaaplikowałem go mej kochanej teściowej, która pozbyła się bez cierpienia tasieś, a ja stałem się jej jedynym spadkobiercą i odziedziczyłem po niej srebrne sitko do herbaty na trzydzieści sześć osób i rogowe okulary, przez które różowo zapatrywała się na świat Boży.

Myli się przecież autor listu, twierdząc, że tasieś dokucza specjalnie w czasie pełni, słyszałem bowiem od pewnego tasieścowatego jegomościa, że potwór ten bryka najbardziej na nowiu i wtedy najłatwiej dać mu radę.

W każdym razie, jako miłosierny chrześcijanin, pomocnej ręki nie cofnę, choćbym miał potem za to i pokutować, zastrzegam się przecież, iż w danym wypadku prosiłbym o ofiarowanie okazu do jakiegoś muzeum, którego mógłby być pierwszorzędną ozdobą.

Bo chyba każdego ze zwiedzających zainteresowałoby bardzo, gdyby na pryncypalnym miejscu ujrzał słoik z napisem: „Tasieś, wyhodowany przez naszego znakomitego poetę pana X. Y.“

Inny poeta złapał mnie onegdaj na Rynku i pyta obcesowo:

— Panie łaskawy! Czy pan miał na myśli mojego tasieśca?

— Skądże znowu! Nie wiedziałem o nim wcale! Na sprawach wewnętrznych pańskiego żywota nie znam się zupełnie... Ja pisałem o tasieścu pewnego impresjonisty, który popełnia różne nastrojowe kawały właśnie wtedy, gdy on mu dokucza.

— Jaka szkoda! A ja byłem pewny, że to mowa o moim, który wraz ze mną przejdzie do historii.

Z tego pokazuje się, że brać poetycką cierpi przeważnie na tę dokuczliwą słabość i teraz już się nie dziwię, dlaczego to wielu z nich pisze nieraz tak straszne rzeczy, że po przeczytaniu ich stają człowiekowi resztki włosów dęba na łysinie! Wszystkiemu winien ten szkaradny tasieś, nad którym niniejszem przechodzę do porządku dziennego, łatwo bowiem mógłby mnie kto posądzić, że i ja mam go takżę!

W poprzedniej kronice wspominałem o obchodzie pierwszego maja, którego w Krakowie nie było i o uroczystości Trzeciego Maja, przesuniętej na drugiego, zapomniałem przecież o najważniejszej rzeczy, to jest o nowej taryfie maksymalnej, którą magistrat krakowski wydał celem uczczenia tej podniosłej chwili.

Przez kilka dni chuchaliśmy więc w garść ze zimna, klnąc na Boreasza, który zwrócił się ku nam ze swym lodowatym podmuchem, za kilka dni czeka nas to samo, gdyż zbliżają się święci Pankracy, Serwacy i Bonifacy, mający piękny przydomek *Eismännerów*.

Pozatem należy z ubiegłego tygodnia zanotować

bardzo radosne zdarzenie, o którym szeroko rozpisowały się nasze codzienne pisma wszelkich politycznych odcieni.

W stajni na torze wyścigowym, krowa rasy czysto fryzyjskiej, nosząca poetyczne imię Blanka, a oznaczona numerem 183, powiła dwojaczki, byczka i cieliczkę, które nazwano Wawelek i Wiselka. Co do tego ostatniego imienia to obawiam się, by przyszłej dostarczycielce mleka nie wyszło to na złe. *Nomen omen*, nasze krowy dają i tak bardzo woźniste mleko, choć Wiselką się nie nazywają.

Szczęśliwa mama i dzieciaczki mają się podobno bardzo dobrze. Rada miejska wysłała do niej deputację z podziękowaniem w imieniu ludności, mającej pozostać na wypadek zamknięcia twierdzy, iż tak wybitnie przyczyniła się do aprowizacji miasta. Piękny ten przykład powinny i inne krówki naśladować, co im i nam może wyjść tylko na zdrowie, zwłaszcza, że cielęcina poszła bardzo w górę.

Sytuacja w każdym razie zmieniała się stanowczo na lepsze, usposobienie ludności, czekającej na marki ewakuacyjne, stało się już weselsze, politykuje się też bardziej zawzięcie, niż to miało miejsce przed kilku jeszcze dniami, gdyśmy z placu boju nie mieli żadnych pewnych wiadomości, a depeche poczty pantoflowej brzmiały bardzo poważnie. Moskalom strzepano szarawary pod Tarnowem i Duklą, Anglicy pogubili hajdawery, zmykając przed Niemcami w Belgii, a sam Asquith przyznał, że armia wielkobrytańska lepiej jest zaopatrzona w marmoladę, niż w amunicję i wygrywa, ale nie bitwy, ale partye piłki nożnej. Japonia bawi się z Chinami w ciuciubabkę i posyła im ultimatum jedno za drugim, wujaszek Sam z Ameryki mruga tylko jednym okiem w prawo, a drugim w lewo i powiada, że na wojnie światowej dzięki swej neutralności robi złote interesy.

Ja tylko jestem wcale nie-majowo smutny, najbardziej zaś dotknęła mnie wiadomość, iż tegoroczną pokojową nagrodę przyznano papieżowi Benedyktowi, a nie mnie, choć ja jestem tak pokojowo usposobiony, że niech się schowa ś. p. Berta Suttner, lub pani Salomea Chwatowa!

A taki byłem pewny, że jeśli kiedy, to tego roku ona mnie nie minie, iż na to konto pożyczyłem już od jednego ze znajomych sto koron, których wobec tego nie będę mógł oddać!... Lecz ja temu nie jestem winien, ale komitet fundacji Nobla, który chyba nie wie o tem, że w Krakowie wychodzą *Nowości Ilustrowane* i żyje kronikarz, który jest prawdziwym apostołem pokoju i trąbi na jego cześć, ile mu tchu starczy, a kieszeń pozwoli!

I kto wie, czy wobec takiej czarnej niewdzięczności nie zmienię zasadniczo swych zapatrywań i nie stanę się zwolennikiem wojny. zwłaszcza, że, jak się zdaje, będę musiał przypasać do boku karabelę ojców i powędruję na plac boju, skoro przyjdzie nowe powołanie landszturmu.

Ale biada wam wtedy Moskale! Jak dziki lew — słowa pewnego młodzieńca, który opowiadał mi onegdaj o swych rycerskich przewagach — rzuce się na wasze szeregi i będę prał, ale to tak, jak tylko kronikarz potrafi.

Przedewszystkiem zająłbym się zaś utworzeniem legionu sufrażystek-amazonek, na czele których postawiłbym naturalnie moją drogą Weronisę, niewiastę bardzo wojowniczo usposobioną. Ona dałaby radę i najdzielniejszemu kozuniowi, na języki zaś to nie radziłbym nawet próbować się z nią, bo ona każdego przegada. W kął przed nią najzupełniejszy karabin maszynowy, gdy rozpuści swą buzię!

Nawet i na szermierce zna się moja stara niezgorzej, ćwiczenia odbywa jednak nie na szpady lub florety, posługuje się natomiast pogrzebaczem albo trzepaczką. I używanie granatów ręcznych nie jest jej obcem, miejsce ich zastępuje zazwyczaj solniczka, lichtarz, pantofel, wogóle cokolwiek znajduje się pod ręką.

Ponieważ zaś kobiety są przeważnie stworzone jedna na obraz drugiej, czyli, innemi mówiąc słowy, wszystkie są bardzo wojowniczo usposobione, legia tego rodzaju byłaby nie lada nabytkiem. Z tem tylko mielibyśmy kłopot, jak je umundurować, aby to było według ostatniej mody. Co zaś najważniejsze, zyskalibyśmy wobec tego względy sufrażystek angielskich, które musiałyby się chyba tylko cieszyć z tego, że tak honorujemy ich polskie koleżanki.

Jednego tylko wyobrazić sobie nie mogę, mianowicie, jak wyglądałby atak tego rodzaju dwu oddziałów, bo chyba w „dekungach“ baby długoby nie wytrzymały! Sądzę, że nawet tak znakomity batalista, jak Wojciech Kossak, nie potrafiłby namalować jak się patrzy obrazu, przedstawiającego: Szarżę amazonek pani Pankhurst na oszańcowane pozycje panny Dulebianki. Przedewszystkiem zaś obraz taki musiałby być połączony z gramofonem,

bó pędzłem chyba nie odda należycie wrzasków i krzyków.

Ze zaś wojna może już raz się skończy, za tem przemawiałaby jeneralna, jak już dziś widać, klęska Moskali w Galicji zachodniej, do której pan Radko Dimitriew jakoś nie ma szczęścia, przewagi Niemców w Belgii i Francji i zupełne zbieranie Anglików, którzy, jak podają pisma codzienne, nie mogąc spotkać na morzu Niemieckiem nieprzyjacielskiej eskadry, aby nie wyjść z wprawy, urządzili walkę między swemi własnymi flotami. Odniesli walne zwycięstwo, zatopiwszy kilka własnych okrętów, nikt więc chyba nie może wyrażać się ubliżająco o sprawności angielskich sił morskich, które dotąd nic ze swej dawnej sławy nie utraciły. Na najbliższy czas, o ile nic nie stanie na przeszkodzie, proponowany jest atak jeneralny angielskich łodzi podwodnych na własne pancerniki, by przekonać świat, że i one, obok niemieckich i austriackich, są też pierwszorzędnej wartości.

Trójporozumienie, aczkolwiek zdawało mu się, że Europę przykryje, jakby czapką i z pod niej wróble wybierze, zawiodło się na tem, wobec czego zrzęda mu mina i zmieknęła rura, najbardziej zaś niezadowoleni są Anglicy, gdyż zaczyna się w ich kraju sezon piłki nożnej i tenisa, chcieliby więc być już na miejscu. Niemcy okazują wprawdzie chęć do rozegrania partyi... ale nie we football, a chyba nawet Anglikom nie może się podobać taka zabawa, gdzie miejsce piłek zastępują kule z moździerzy trzydziesto i czterdziesto cent metrowych.

To przynajmniej dobre, iż wiosna, jakby obraziła się na mnie za me poprzednie urągania, od dwu dni obdarza nas wcale przyzwoitą pogodą, co kazałoby się spodziewać, że chyba mrozu i śniegu już nie będzie. Mielśmy nawet pierwszą burzę w dniu ósmego maja i to do tego z grzmotami, co powtarzam wszakże na odpowiedzialność innych pism krakowskich. sam bowiem w tym czasie spoczywałem już w łóżku i żadnych podejrzanych odgłosów nie słyszałem zupełnie.

A byłby już czas chyba, by się cieplej zrobiło!